ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Maja — Nro 18. — Roku 1844.

Margrabina de Gange.

Pod nazwiskiem pięknéj Prowansalki słynęła przez długi czas na dworze Ludwika XIV. nadobna margrabina de Castellane. Podług świadectwa wszystkich co ją widzieli, byłato jedna z najpiękniejszych kobiét, jakie kiedykolwiek zachwycały oko, a sam nawet król Ludwik miał nie bez wzruszenia patrzyć na tyle wdzięków. Odznaczał ją téż umiłonémi słowy i pochlebnémi zaszczytami przy wszystkich uroczystościach dworu. Królowa szwedzka Krystyna, bawiąca podówczas na dworze francuzkim, zapewniała iż nie znalazła w żadnym kraju takiéj piękności, którаby się z piękną Prowansalką porównać mogła, i że, gdyby mężczyzną była, na śmierćby się w niéj zakochała. Sławny malarz Mignard odmalował margrabinę de Castellane, a obraz ten miano za arcydzieło tego mistrza.

Taka rzadka piękność i nadobność, zjednały oczywiście nadzwyczajny rój wielbicieli. Nigdy jednak nie dopuściła margrabina aby na nią padło najlżéjsze podejrzenie jakiego nagannego stosunku. Jéj charakter odpowiadał zupełnie jéj piękności. Posiadając łagodną duszę, przenikliwy i wykształcony lecz nie błyskotny umysł, była miłą towarzyszką, trafną postrzegawczynią, ale zarazem czułą i miłosierną na wszelkie cudze nieszczęście.

Pochodzenie jéj i majątek równoważyły owe przymioty. Była ona córką niejakiego pana de Roussau z Awinionu; od czasu zaś jego śmierci wychowywała się w domu swego macierzyńskiego dziada, bogatego pana de Nochères. Ten pilnował roztropnego dziecięcia jak gdyby oka w głowie, a przed wydaniem jéj za mąż, dobrze się zastanowił, czyim rękom może tak drogi skarb powierzyć. Wybór jego wypadł szczęśliwie. Margrabia de Castellane, potomek jednego z najdawniejszych i najznakomitszych domów Prowancii, był w każdéj mierze godnym małżonkiem panny de Chateaublanc, jak się od jednéj majętności dziada swojego zwała. Zawiózł ją do Paryża i zachwycał się uwielbieniem, które coraz doskonaléj rozwijająca się piękność żony zyskiwała.

Ale jak gdyby tego szczęścia dla śmiertelnéj kobiety zanadto było, nie długo niém się cieszyła. W ośmnastu latach zaślubiła margrabiego, w dwudziestu już była wdową. Jéj małżonek dowodził oddziałem floty, która na wybrzeżach Sycylii zatonęła; tamże w pełnieniu swéj powinności i on zginął.

Młoda wdowa musiała dla załatwienia ininteresów powrócić do Awinionu. Natychmiast otoczyło ją grono zalotników zwabionych jéj pięknością, jéj sławą i jéj majątkiem. Jako na dziedziczkę starego pana de Nochères, spadały na nią wielkie bogactwa.

Mogła teraz wybiérać podług upodobania; a serce wdowy rozstrzygnęło na korzyść margrabiego de Gange, mężczyzny równie młodego, lub może jeszcze młodszego od niéj saméj. Wszyscy zgodzili się na to, że ta młoda para jakby stworzoną była dla siebie; ona — podobna do anioła, on — wzór piękności męzkiéj. Jeżeli ona przewyższała go majątkiem, to zacność jego rodu, różnicę tę wyrównywała. Był baronem Languedoku i gubernatorem miasta St. André. W ten sposób obrachowywali znajomi, przyjaciele i cała okolica wzajemną wartość nowożeńców; ich obopólny charakter nie wchodził bynajmniéj w tę rachubę!

Pomimo wszelkie swoje zajmujące przy-

mioty, była margrabina jednakże kobiétą słabą, któréj cnota nie miała dość siły, wyjść z swojéj wrodzonéj powolności. Łatwowierna, ponieważ miała sama najlepsze serce, a łatwowierność zwykle wygodną jest rzeczą, niezwyczajnym obdarzona rozumem, lecz chwalona zawsze i pochlebiana, margrabina nie wykształciła ani swego rozumu ani swéj cnoty do stanowczéj samodzielności. Zawsze uległa, pobłażająca, padła téż ofiarą tego wygodnego poddania się okolicznościom, i ponieważ zamiast zastanowienia się i czynienia jakby była mogła — myśląc iż nie wszystko w istocie jest tak złe jak się zdaje — wolała usypiać się słodkiemi marzeniami.

Margrabia byłto człowiek gnuśny nikczemnego umysłu. Niepokalana czystość charakteru raziła go boleśnie, czuł się niejako poniżonym w obecności jakiego, cnotą lub zasługami, znakomitego męża. Będąc sam stworzeniem bez wszelkiéj rzetelnéj wartości, miał téż upodobanie niweczyć szczęście drugich. Małżeństwo to zostało zawarte roku 1658, i zdawało się w piérwszych latach najpomyślniejsze, jakiego sobie tylko było życzyć można. Margrabia upojony urokiem swojéj nadobnéj żony, nie mógł żyć bez niéj ani chwili; ona również nie znała wyższego szczęścia nad posiadanie serca tak ujmującego męża. Została matką dwojga dzieci, syna i córki.

Lecz margrabia był młody, a jak na mężczyznę, młodszy nawet od żony. Nie miał dostatecznéj tęgości charakteru i tyle uprawy umysłu, aby mógł był polegać na samym sobie. Ona, przy wszelkiéj swojéj cnocie i moralnéj sile, nie czuła ani pociągu ani władzy kierowania i kształcenia swojego męża. Samotność, w którą się oboje zagrzebali, zaczęła nudzić najprzód margrabiego. Zasób czułości wyczerpał się zbyt rychło.

Zatęsknił za towarzystwem i rozrywką; równie téż i margrabina, lubiąca towarzyskie zabawy z natury, pozwalała sobie uciech, lecz tylko jako środków naprzeciw nudom. Roje wielbicieli, które się natychmiast znowu ku niéj zleciały, umiała zachwycić, ale oraz zatrzymać na wodzy przyzwoitości. Skoro postrzegła że jéj uprzejmość obudzała za nadto żywe uczucia, których jéj niewolno było podzielać, wtedy usuwała się nieznacznie, lub podwójną wiedziona powinnością, przecięła od razu wszelką zażyłość.

Mąż jéj będąc sam świadkiem tego wszystkiego, powinien był znać swoję żonę i znał ją w saméj istocie, a przecież zażegała się w nim nieraz iskra zazdrości. Wstydził się on wprawdzie swojéj słabości, bo jeźli tylko sobie zadał pracę i zastanowił się rozważniéj nad stosunkami; musiał sam wyznać, iż był zazdrośnym bez powodu; jednakże uczucie tego wstydu napełniało go niechęcią. Mężczyzna, który nie czuje w sobie żadnéj wewnętrznéj wartości, który w przepychu we wszystko obfitego życia, nie hartuje żadną szlachetną czynnością swojéj siły, nie może nakońcu znieść obok siebie wyższéj istoty, i bywa niejako poniżony jéj ciągłą obecnością. Ztąd miéwał margrabia nieustanną pobudkę do gniewu. A to, co sobie chcąc niechcąc wyznać musiał: że sam powodów do gniewu szuka, i że właściwa przyczyna niechęci jego, w nim samym spoczywa, nie mogło zaiste pocieszyć tak nizkiéj duszy jaką była jego; i owszem to wszystko podniecało go do tém gwałtowniejszego wywarcia swojéj złości, aby wzbudziwszy podobne oburzenie u innych, nabyć przez to samo pozornego prawa do nowych sprzéczek i swarów. Z tego względu uważany, wydawał się margrabia w obliczu swojéj żony charakterem poziomym, który powiadomy na poły swéj nikczemności, zżymał się nato równie jak i na swój stosunek do ubóstwianéj kobiéty, która gdziekolwiek się zjawiła, powszechne odbiérała hołdy, w których margrabia żadnego udziału nie miał. W naszym wieku wynikłoby z tego zwykłe nieszczęśliwe małżeństwo; w owych zaś odmiennych wcale czasach i okolicznościach: gdzie niedawna uprawa obyczajów zaledwie zdołała powierzchni starego barbarzyństwa i gwałtownych namiętności, pozorną nadać ogładę; mogły ztąd powstać okrutne zajścia.

Ich małżeństwo stało się prawie bez żadnego powodu nieszczęśliwém. Czuły, uprzejmy małżonek wracał teraz z posępném, niechętném, chmurném obliczem do swojéj żony. Zamiast płomiennych przysiąg miłości, zamiast czułych miłosnych zwierzań, czynił jéj wyrzuty. Jego obchodzenie się nabiérało

coraz surowszego wyrazu, stawało się przykrzejszém, a co więcéj, unikającém. Margrabina dostrzegła w téj oziębłości niemylną wróżbę zupełnego zerwania.

To zatruło jéj spokojność. Całe wszakże jéj postępowanie dowodziło, iż znosiła wszystko z anielską cierpliwością, a nigdy najmniejsza opryskliwą odpowiedzią nie wywołała gniewu swojego męża. Towarzystwa już jéj nie mogły być rozrywką, ale były owszem źródłem coraz nowych nieprzyjemności, gdyż nastręczały mężowi pobudek do ustawicznego nieukontentowania.

W tymże jednak czasie zaszła w ich położeniu mała odmiana, po któréj się margrabina polepszenia swego od dnia do dnia nieznośniejszego losu spodziéwała. Zjechało dwu braci margrabiego w odwidziny na jego zamek. Słynęli obaj — a mianowicie jeden — za bardzo miłych towarzyszów.

Franciszek i Ludwik bylito młodzi synowie rodziny margrabi d e G a n g e, i przyjechali do swego starszego brata, aby u niego na zawsze zamieszkali.

Franciszek posiadał bystry rozum i wiele wiadomości, których najłatwiejszym nabył sposobem; lecz był oraz najrozpasańszym namiętnościom oddanym człowiekiem. Niewolnik swoich pochutnych popędów, skryty szyderca wszystkiego, bezbożnik, skłonny za poszeptem swéj żądzy do popełnienia wszelkiego złego, obracał przyrodzone zdolności i nabytą doświadczeniem wymowę swoję tylko na to, aby pokryć wybuchy owych wrzących w nim namiętności. Był złośliwym, zawziętym, mściwym i panowania chciwym, a w duszy do tego stopnia surowym i dzikim, że takiego człowieka przy teraźniejszém usposobieniu towarzystwa, niepodobna prawie sobie wyobrazić. Jednakże to skryte w piersi jego zarzewie zbrodni, umiał osłonić obłudnym pozorem ukształcenia i miłéj towarzyskiéj obyczajności. Jeżli sobie przedsięwziął co opanować lub przezwyciężyć, nic mu się nie oparło; skoro w nim namiętność nad jego własnémi prawidłami roztropności raz wzięła górę, srogość jego nie znała granic. Lecz najniebezpieczniejszym czyniła go jego chytrość i niesłychana sztuka udawania, gdyż, jeżli tylko potrzeba wymagała, nie było człowieka milszego, łagodniejszego, uczynniejszego, grzeczniejszego i uczciwszego nad pana Franciszka de Gange.

Ludwik byłto młody człowiek, potrzebujący cudzego prowadzenia, a przeto łatwém narzędziem w ręku każdego przebiegłego przewodnika. Franciszek owładnął go zupełnie, i tak dalece kierował nim podług upodobania, że jeżeli go do czego nakłaniał, zaledwie potrzebował wykładać mu powody; a jeżeli kiedy ukrył do tego stopnia misterność swoję, iż Ludwik mniemał, jakoby sam podług swéj woli działał, byłato jedynie zabawka Franciszka roztropności, która się sam przed sobą popisywał.

O nieco tylko trudniejszą była igraszka, w jaką się z margrabią, swoim bratem bawił. I ten równie potrzebował przewodzcy. Franciszek postanowił nim zostać i wkrótce całkiem podbił słabego margrabiego. Nieustannémi swojémi radami względem dóbr zarządu, lokowania dochodów, środków jakiémiby podniósł świetność swojego domu; zrobił mu się niezbędnie potrzebnym. Po niedługim czasie margrabia był tylko z imienia panem swych włości, a w rzeczy saméj był nim Franciszek.

Przyjechał on wprawdzie do swego brata jedynie w tym celu, aby ustalił nad nim swą władzę, tymczasem znalazł jeszcze inne zadanie, które na teraz daleko go więcéj zajęło. Wdzięki pięknéj bratowy zażegły serce jego, o ile było zdolne miłości. Miał on zwyczaj na nic nie zważać skoro tylko chodziło o zadowolnienie jego namiętności. W obecnym razie śród innych planów, spodziéwał się łatwego zwycięstwa, a przyjemnéj rozrywki. Lecz to samo uszanowanie, którém margrabina umiała przejąć wszystkich swych wielbicieli, przekonało go wkrótce, iż tu nie wypada myśléć o nagłém eleganckiém podbiciu, lecz trzeba brać się przemyślnie, z całą roztropnością do zamierzonego dzieła.

Na piérwszy rzut oka rozeznał on, jak rzeczy stały. Korzystając z tego w sposób najzręczniejszy, starał się nabyć prawa do zaufania swojéj bratowéj. Podczas gdy się z nią samą z największém obchodził poważaniem, był oraz w rozmowach z margrabią, najgorliwszym jéj wielbicielem. Bez wielkiéj trudności zdołał odwieść margrabiego od niedorzecznéj jego obawy, i owszem, umiał w nim nowe uczucia szacunku dla jego małżonki wzbudzić.

Wkrótce okazał się jawny skutek: Margrabia obchodził się znowu ze swoją żoną jeżli już nie tak czule jak dawniéj, to przynajmniéj tak ochronnie, jak przystało na męża, który wartość swéj żony cenić umié. Gdyby nawet margrabina była nie wiedziała, komu winna tę zmianę, jużby sam Franciszek nie ominął był zrobić ją na to uważną. Ale bądźto, że się swoją zasługą przed nią pochwalił, bądź że jéj wrodzone, nieomylne nczucie, prawdę wskazywało; nie uzyskał Franciszek nic ztąd dla siebie, prócz uprzejmego podziękowania za swą staranność.

Pomimo jego wszelką usilność przypodobania się margrabinie, pomimo iż zawsze najprzyjemniejszą zabawę z największém uszanowaniem połączać umiał, obchodziła się z nim margra-

bina wprawdzie jak najgrzeczniéj, lecz oraz obojetnie, unikając widocznie wszelkiego poufniejszego zbliżenia. Właściwy charakter Franciszka był margrabinie niewiadomy, a przecież, jak to późniéj sama wyznała, od piérwszego już spotkania, niepokonany wstręt ku niemu uczuła.

Ponieważ mu sie jego zamiar na téj drodze za długo przeciągał, więc go postanowił śmiałym krokiem skończyć. Sposobność do tego podała mu letnia pora, gdy się rodzina na wieś przeprowadziła. Jako wszędzie mile widziany i przyjemny towarzysz, był i tutaj z radością powitany.

Razu jednego na polowaniu, któremu i damy uczestniczyły, przyjął na siebie przy margrabinie obowiązek koniuszego, a to jedynie w tym celu, aby z każdéj pomyślnéj mógł korzystać chwili.

Gdy podczas wrzawy myśliwskiéj wszyscy się na swoje rozbiegli stanowiska, on pozostawszy z nią sam na sam śród lasu, odkrył jéj swoję gwałtowną namiętność i błagał o wysłuchanie. Oświadczenie się jego nie było bynajmniéj mową pałającego kochanka, który się namiętności unieść daje, ani mową pokornego czciciela, który uszanowaniem i obawą przejęty, prośbę swoję nieśmiało wyjąkiwa; on mówił po swojemu: tonem śmiałego paryzkiego rozpustnika, który pewny swéj zwycięzkiéj siły, sądzi mieć prawo igrania miłością.

Margrabina, coby się gniewać i od niego ze wstrętem odwrócić miała, odrzekła mu tylko owym oziębłym tonem, który, jeżeli nie pogardę, to przynajmniéj największą obojętność wyraża: »Zostawiam to panu samemu do rozsądzenia: jak kobiéta mojego sposobu myślenia, taka, jaką mnie pan znasz, może przyjąć podobne oświadczenie. Nie żądaj pan odemnie abym mu powiedziała co sobie sam odpowiedzieć możesz, a coby żadną miarą ani mnie wymówić ani panu słuchać nie było przyjemnie.«

Franciszek milczał przez chwilę. Uczuł pocisk jéj słów i poznał: że chcąc zdążyć do celu, inną drogę obrać należy. Nie myślał przeto jednakże odstępować od swojego zamiaru.

Zmieniwszy ton, odrzekł z przyciskiem: »Niech tylko pani na to łaskawie zważyć raczy: iż całe jéj przyszłe szczeście w moim ręku spoczywa, że, jeźliby mi sie tak podobało, uczynić panię najnieszczęśliwszą kobiétą w świecie, dla mnie łatwą rzeczą. Wesołość pani i dzisiejszy jéj dobry humor, jest mojém dziełem; jedno tylko wyrzeknę słowo, a ta piękna budowa szczęścia twego runie, jak mdły domek z kart ustawiony. Nie sądź pani abyś temu zapobiedz mogła, ani się spodziéwaj, aby ci brat mój uwierzył, gdyby przypadkiem na myśl ci przyszło, zdradzić mu terazniejszą rozmowę naszę. Pamiętaj pani, że bezemnie wszelkie jéj usiłowania będą nadaremne. Twoje szczęście, twoja przyszłość od mojéj woli zależy; dla nas obojga może, a dla ciebie pani niezawodnie, będzie najkorzystniéj pozostać ze mną w zgodzie.«

Margrabina raz jeszcze powtórzyła tym samym pewnym głosem: iż ją od jéj powinności nic w świecie odwieść nie zdoła, i czyto nadzieja szczęścia, czy pewność najsmutniejszéj przyszłości jéj udziałem będzie, żadna zmiana w jéj sposobie myślenia nie zajdzie. Zresztą — dodała z goryczą — gdyby nawet uledz jakiéj słabości zdolną być mogła, on pewnie byłby ostatnim, któryby ją do tego mógł skłonić. To upokarzające oświadczenie, chociaż go do żywego zraniło, nie odwiodło go bynajmniéj od raz powziętego zamysłu. I owszem, znalazłszy taki opór, uczuł się témbardziéj do dalszych sposobów podżegnionym, i co mu dotąd tylko ulotną namiętnością było, odtąd stało się sprawą honoru i miłości własnéj. Jego pochlébna próżność kazała mu wnioskować: iż tak pogardliwe odprawienie, nie mogło z czego innego pochodzić, jak tylko z dumy dotąd jeszcze nie pokonanéj cnoty; gdyż jego zasadą było to przekonanie francuzkich rozpustników: że wszelka niewieścia cnota długiemu i nieustannemu oblężeniu ostać się nie zdoła. Ztémwszystkiém tą razą powziął już zmianę planu usiłowań swoich.

Od owéj przygody w lesie, unikała margrabina wszelkiego samotnego zejścia z Franciszkiem, ale zato bywała teraz więcéj w towarzystwie Ludwika. Łagodny jego charakter nie zalécał go wprawdzie jako dowcipnego, ale jednakże jako uprzejmego i zgodnego towarzysza. Tę przyjaźną poufałość, którą go teraz piękna kobiéta może jedynie dla tego tylko odszczególniała, iż się jéj zupełnie innego charakteru człowiekiem niżeli znienawidzony Franciszek być wydawał, miał Ludwik za coś więcéj, i rozkochał się w niéj równie mocno jak i brat jego, nie zważając wcale nato, iż w obejściu się z nim margrabiny, nie było nic takiego, coby do dalszych nadziei ośmielać mogło; ani też się domyślał, że Franciszek każdy krok jego jak najciekawiéj śledził. Bardzo więc niespodzianą zdała mu się jednego dnia następna rozmowa z bratem:

Franciszek ujął go za rękę z braterskiém uczuciem i zaczął od oświadczenia: iż między braćmi, którzy się tak kochają, powinna nadewszystko otwartość i szczéra prawda panować. »Obaj kochamy naszę bratowę;« mówił daléj, byłoby to wielkim nierozsądkiem, gdybyśmy sobie przeszkadzać mieli. Co do mnie, umię być

panem moich namiętności, i mogę twojéj miłości, poświęcić moję. Nie zaniedbuj niczego, abyś został szczęśliwym; jeżli zaś nie zdołasz dopiąć celu swego, natenczas ustąp i pozwól mnie wejść w zawody. Dla ujęcia serca kobiéty nie powinniśmy żyć w niezgodzie.«

Ludwik równie zdziwiony jak i zachwycony tą braterską spaniałomyślnością, zezwolił chętnie na wszystko. Zawarto wzajemną ugodę, która miała służyć Franciszkowi w dwojakim celu. Najprzód chciał się dowiedzieć z pewnością, czy margrabina nie kocha może w rzeczy saméj Ludwika i czy to nie było właśnie jedyną przyczyną jéj surowego z nim obejścia się w lesie. Powtóre, w razie przeciwnym, miało odprawienie z niczém Ludwika, rozjątrzyć go przeciw margrabinie i nastręczyć Franciszkowi chętnego sprzymierzeńca w dalszych jego zamysłach. Jedno i drugie powiodło się Franciszkowi. Margrabina nie kochała Ludwika; postrzegłszy jego zamiary, zmieniła swój ton przyjazny w oddalającą obojętność. Ludwik nieśmiał wystąpić z wyznaniem swéj miłości, i w skutek zawartéj ugody zdał wszystkie swe prawa w ręce Franciszka. Cierń w sercu zawiedzionego kochanka, umiał chytry brat jeszcze bardziéj zaostrzyć.

Franciszek stanął więc znowu jako zalotnik w szranki, ale już wcale w sposób odmienny. Podżegał margrabiego przeciw żonie przy każdéj sposobności. Z troskliwą obawą kochającego brata, wyznał mu dnia jednego: iż się przecież na charakterze margrabiny zawiódł nie mało. Jeżli jeszcze dotychczas, jak się tego spodziéwa, nie zbłądziła, więc bardzo wątpi, aby obecnie nie była blizką zbłądzenia, gdyby się jéj małżonek z stanowczą siłą męża temu nie oparł. Margrabia był już wtedy zupełnie pod władzą swojego brata. Podobnie jak sobie dał piérwéj Franciszkowi zamknąć oczy na jego i Ludwika zalécanie się do margrabiny, tak teraz dał je sobie równie łatwo otworzyć, aby coś ujrzéć, czego wcale nie było. Pewien młody człowiek, z którym margrabina w towarzyskiém gronie jednéj sąsiedniéj rodziny zabawiać się lubiała, został za straszydło przeciw margrabiemu użyty. Niedołężny margrabia uwidział na pozór, co miał rzeczywiście uwidzieć; oburzył się, znieważał najsrożéj swoję żonę, nie słuchał żadnych usprawiedliwień i zapomniał się do tego stopnia: iż się poważył dopuścić bolesnego pokrzywdzenia.

Nieszczęśliwa żona wiedziala zanadto dobrze, komu tę złość i to nieludzkie zachowanie się swego męża podziękować miała, ale była oraz w tém bolesném przekonaniu, iż jéj zbywało na wszelkich środkach do usprawiedliwienia się i do obrony. Jéj prześladowca korzystał z tego przykrego stanu. Zrzucił już wszelką zasłonę wstydu i uznał wszelką maskę za niepotrzebną. Otwarcie powiedział jéj dnia jednego: »Tak jest, pani, wszelkie twoje umartwienia są mojém dziełem. W mojéj też mocy spoczywa przemiana tych dni ponurych w najjaśniejszą pogodę; klucz do tego szczęścia kładę w twoje ręce, ale poraz ostatni.«

Margrabina w całą odpowiedź — odwróciła się i odeszła.

(Dokończenie nastąpi.)

Książę Sombre.

W Paryżu przebywa obecnie znakomity cudzoziemiec, który swoją postacią, swémi obyczajami i przygodami, w najwyższym stopniu ciekawość wzbudza. Cudzoziemiec ten nazywa się książę Sombre, a to imię odpowiada zupełnie jego brunatnéj cerze. Ojciec jego był rodowitym Francuzem, który się z końcem zeszłego wieku udał do Indyj szukać swego szczęścia, i znalazł je w istocie. Ożeniwszy się z córką jednego z indyjskich książąt, został także na stopień książęcy wyniesiony, a umiérając pozostawił swemu synowi tytuł książęcy i majątek trzydziestomilijonowy. Mając tak piękną sumę, znudził się wkrótce młody Sombre w Indyjach wschodnich, zabrał swą ojcowiznę i popłynął do Anglii. Świetną przyszłość rokował sobie tamże w skutek opowiadanych zabaw, jakie panują w stolicy. Z otwartémi ramionami przyjął Londyn naboba. Gdy składał swoje milijony w banku, kłaniano mu się aż do saméj ziemi; gdy się piérwszy raz pokazał na operze ubrany w indyjskie kaszemiry, błyszczące od brylantów, przyjęto go z oklaskami. Wszystkie arystokratyczne salony stały mu otworem. Wystąpienie jego na świat, powiodło mu się jak najdoskonaléj. Nie długo trwało, a już się pozbył indyjskiego stroju: kilka modnych dam przywiodły mu na uwagę, iż kaszmiry i brylanty nie przystoją wcale mężczyźnie, ale są wyłączną ozdobą płci pięknéj. Przystał nato i ubrał się podług mody europejskiéj. Królowe mód oświadczyły, iż strój nasz krótki, przypada dziwnie pięknie do jego orientalnéj postawy, jego oliwnéj cery, jego kędzierzawych włosów i wielkich białych oczu. Panie mu nadskakiwały, a panienki, których zrazu odstraszała jego fizognomija Otela, ułaskawiły się wkrótce na samę myśl o jego niezmiernych skarbach. Książę Sombre był bezżennym i wcale na ten stan nie narzékał; ale jakże mógł się oprzéć tym

tysięcznym pokusom: tym wysmukłym kibiciom, tym jasnym warkoczom, tym łagodnym niebieskim oczom, które go zachwycały? Najsławniejsze rodziny staréj angielskiéj szlachty starały się z nim połączyć: jak można było wyrzéc się tyła zaszczytu! Książę miał do wyboru — i wybrał młodą śliczną dziewczynę, córkę lorda***.

Pan młody nie był obeznany z angielskiémi prawami ślubnemi i zdawał się w tym względzie chętnie na radę drugich. Nauczyli go zatém prawnicy, iż przyjęty oddawna zwyczaj, nakazuje każdemu nabobowi zapisać swojéj żonie przy ślubie dwa kroć stotysięcy funtów. Książę Sombre uznał to żądanie bardzo wyraźném i był zanadto spaniałomyślnym aby mieć temu cokolwiek do zarzucenia; podpisał więc żwawo kontrakt, który zbogacił jego młodą i szlachetną małżonkę.

Z początku szło wszystko dobrze. Milijony i mąż, były z równą uprzejmością przyjęte. Ale ta równość nie trwała długo. Milijony wprawdzie nie straciły na swéj wziętości, ale małżonek nie miał już tyle szczęścia. Pokazało się, iż był zanadto Indyjaninem; jego osoba i maniery zostawały zawsze zbyt azyjatyckie; nie mógł się żadną miarą wdrożyć w obyczaje towarzystwa angielskiego, które nie miały nic wspólnego ze zwyczajami kompanii wschodnioindyjskiéj; nadewszystko był daleko zazdrośniejszym niż na cywilizowany kraj wypadało. Nieprzyjaźń wszczęła się wnet po ślubie. Korzystano z niektórych dziwactw naboba aby go posądzić o pomieszanie zmysłów; rozgniewał się o to, a jego gniew, który przecież dawał się tak łatwo wytłumaczyć, wzięto za napad szaleństwa. Książę nie podołał takim podstępom: dwóch doktorów zajęło się zbadaniem jego zdrowia i uznało go w istocie obłąkanym. Ten wyrok lekarzy był dostateczny do przedsięwzięcia surowych środków. Angielskie ustawy przepisują: iż każdemu człowiekowi, którego dwóch lekarzy uzna za obłąkanego, odbiera się zarząd majątku. Książę Sombre walczył jak tygrys bengalski, lecz walka była daremna; oddano go do domu obłąkanych i strzeżono surowo; jego dobra poszły pod sekwestr, a jego żona, lady St. V.., zamężna księżna Sombre, objęła swój majątek, składający się z dochodów od owych dwukroć stotysięcy funtów, które jéj ślubnym kontraktem zapewniono.

Taki stan rzeczy byłby zapewne potrwał czas długi, gdyby się było nabobowi nie powiodło omylić czujność swoich stróżów. Wyczerpawszy złość swoję, uciekł się do chytrości; lew przemienił się w gadzinę. Za pomocą wiernego sługi umknął z domu, w którym go angielskie prawa zamknęły, a dostawszy się na pokład jednego z licznych parowych statków na Tamizie, przybył do Havre, wolny i kontent, lecz bez pieniędzy, a nawet bez kapelusza.

Nabob który ma blizko 30 milijonów w sekwestre, znajdzie wnet kredyt. Książę objawił swoje prawdziwe nazwisko i przyjechał do Paryża, aby tu oczekiwać przysposobienia dalszych środków do swéj obrony. Któżby wierzył, iż jego przeciwnicy tyle dokazali, że nawet w drodze dyplomacyi, wydania jego żądano. Ale gościnna Francyja dozwala przytułku waryjatom a wydaje tylko zbrodniarzy. Mimo to wszystko wystawiono szaleństwo księcia jako niebezpieczne i badano go raz jeszcze w obecności wielu znakomitych mężów. Książę odpowiadał na wszystkie zadane sobie pytania z wielką przytomnością umysłu. Ta ostatnia próba jest stanowczą, jeżeli adwokaci angielscy nie zechcą zbijać kompetencyi narodu francuzkiego do wyrokowania w rzeczach rozumu. Tymczasem książę indyjski daje ciągle nowe dowody swych zdrowych zmysłów, zwłaszcza że wyprawił przepyszny bal w salonach Lemardelayskich, na którym się dobór angielskiego towarzystwa znajdował; przyjmował gości z wielkim taktem i z zupełną przytomnością umysłu. Głos jego rodaków jest odtąd za nim i potwierdza wyrok Francuzów. Sąd angielski będzie musiał znieść sekwestr i oddać nabobowi jego milijony, aby się mógł przyzwoicie urządzić w Paryżu.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 18. i obejmuje: 1) Nieco o kartoflach. 2) O rachunku gospodarskim. 3) Uwagi nad tuczeniem zwierząt domowych. 4) O praktycznym sposobie wyhodowania łososia i innych ryb na gospodarski użytek. 5) Pojedyńczy sposób, zajętą sadzę w kominie prędko i pewnie ugasić. 6) Jeszcze niektóre uwagi nad Tygodnikiem rolniczo-przemysłowym. (Nadesłane z Wiédnia.) 7) O nowym gatunku buraków (*Blatt-Rüben*) mających dawać większy procent cukru, niżeli zwyczajne szlązkie. 8) Sposób przyrządzenia szynek amerykańskich. 9) Piśmiennictwo gospodarskie.

Dowiadujemy się właśnie iż znany polski pisarz i poeta Bruno hrabia Kiciński, tłumacz Przemian Owidyjusza, autor kilku dzieł scenicznych i współwydawca różnych pism warszawskich, umarł w dobrach swych Ojrzeniu, gubernii płockiej, z dnia 22. na 23. marca b. r., przeżywszy lat 48. Zebrane dzieła jego w 12. tomach wyszły właśnie w Warszawie z drukarni Ungera. Zostawił procz tego w rękopisie wiele poezyj, tłumaczeń i dzieło pod tytułem: *Brewiarz świecki*, podług Leopolda Szefera, którego 1. część (I. kwartał) roku zeszłego prasę drukarską opuściła.

Ceremonija umywania nóg w wielki czwartek na dworze madryckim przed stu laty. Na dworze hiszpańskim odprawiano tę ceremoniję na

13 ubogich w przedpokojach królewskich, zaraz po wysłuchaniu wielkiej mszy w następujący sposób: Nim król wyszedł z kaplicy, ustawiono drewniane ławki, a pod stołem kosze; na stole potrzebną ilość talérzy, solniczek, chleba, sztućców i butelek z winem. To wszystko było ozdobione kwiatami. Jałmużny kleryk kazał usiąść ubogim na ławkach, gdzie ich królewski lekarz opatrzył, czy nie są dotknięci jaką zaraźliwą chorobą; poczém aptekarz królewski, wielki marszałek nadworny i wielki jałmużnik czyścili im nogi. Gdy już przenajświętszy sakrament włożono do tabernakułu, wtedy wszedł król z kaplicy na salę w towarzystwie urzędników dworskich. Dyjakon zaczął śpiéwać ewangieliję, a król składał kapelusz i szpadę, i opasował się białą ścierką. Teraz dopiéro nastąpiło umywanie nóg. Poczém jałmużny kleryk kazał zasiąść ubogim do stołu, przy którym pierwsze potrawy oddawał król klęczącemu przed sobą sosierowi, a ten kładł je do koszów. Poczém podawali szambelanowie inne potrawy kontrolerowi, od którego przechodziły do króla, a ten je doręczał znowu sosierowi, który je podobnież w kosze stawiał. Piwniczy zaopatrywał stół winem; nakoniec przyniesiono wety i podano je królowi, każdy ubogi włożył sobie z nich cokolwiek do serwety i wręczał serwetę sosierowi, który ją wraz z chlebem, łyżką, widełkami, nożem i solniczką, kładł w kosze. Nakoniec otrzymał od króla każdy ubogi woreczek z pieniądzmi i sukno na odzież, a po zmówionej przez wielkiego jałmużnika modlitwie dziękczynnéj, zakończyła się ceremonija.

Stotysięczniki. Nagroda stu tysięcy franków, jaką Eugène Sue od redaktora dziennika *Le Constitutionnel* za swój nowy romans »*Le Juif errant*« otrzymał, wywołała w innem paryzkiem piśmie następujący artykuł: »Nigdy nie miało nadejście wiosny tyle wdzięku dla literatury co tego roku. Od porównania dnia z nocą, zdaje się każdemu literatowi, iż stąpa po dywanie z fijołków. Ta zmiana niejestto żadne *mystère. Deus nobis haec otia fecit.* P. Veron, terazniejszy właściciel *Constitutionnela* zrobił to wszystko. Onto starą rzékę Paktolu z jéj złotémi falami w kałamarze pisarzów sprowadził. Onto wynalazł stutysięczników. Sto tysięcy franków za trochę czarnego atramentu na biały papiér rozlanego! O podobnem szczęściu nie marzyła żadna literacka utopija! Perikles poszedł w kąt, Mecenas zapomniany, Leon X. ledwie godzien uwagi, i ani myśléć aby kto odtąd o hojności francuzkiego króla Franciszka I. chciał wspomnieć. Jednem słowem: p. Veron odszukał znowu dawny róg kozy Amaltei napełniony dyjamentami! Jednem skinieniem sprawił, iż z apollińskich wawrzynów złote jabłka Hesperydów wyrastają. Wszyscy też rzucają się żarliwie na te jabłka. Lecz, z-wolna moi panowie! Jeżli ich wszyscy zapragniecie, żaden ich mieć nie będzie. Nie dość mieć atrament, pióro, papiér, tytuł i dobry na to apetyt. Nie każdy kto tylko zechce, może być stotysięcznikiem. Dotąd są tylko trzéj wiadomi. *Numero Deus impari gaudet.* Tak chcą Wirgili i *Constitutionnel.* Eugène Sue, George Sand i Prosper Merimée są głównymi stutysięcznikami. Wdawszy się już w łacinę, ciągniéjmyż daléj: *Non licet omnibus adire Corinthum!* Dwadzieścia biletów bankowych nie są tak łatwo do zbycia w piérwszéj lepszéj redakcyi. A przecież wszyscy marzą to samo. Od czasu handlu *Constitutionnela* z panem Sue latają fejletoniści jakby opętani i o niczém nie myślą, jak tylko o Peru — każdy chce zostać stotysięcznikiem! Dobijają się o godność stotysięcznika jak o krzesło w akademii! I matki już spekulują, czyby tam gdzie nie znalazły jakiego stotysięcznika dla swoich córek! Przed pięciu jeszcze laty skarzono się jak za czasów Ludwika XV.: »Cóżto za lichy stan autorski! Poeci umierają w szpitalu, lub żyją wonią kwiatów!« Dziś inaczéj się dzieje. Dzisiaj jest autor w łaskach u swego grymaśnego pryncypała, którego publicznością zowią. Ale przymieszajmy trochę piołunu do téj słodyczy. W naszym autorskim stanie zachodzą często niespodziane zmiany. Kornel, napisawszy »Cyda,« łatał sobie sam buty; Apollo, przestawszy przewodzić orkiestrze w Olympie, pasł trzody u Admeta. Któż zaręczy, czy stotysięcy franków — nie spadną aż — na sto groszy?!«

Drzewo cesarza. Dnia 20. marca minęło dwadzieścia lat, jak Napoleon, wszedłszy śród okrzyków ludu do Paryża na czele batalijonu, który od wylądowania w zatoce Juan urósł na armiję, zajmując nanowo tron Francyi, był wniesiony w tryjumfie po wschodach Luwru do swych pokojów, z których Ludwik XVIII. dopiéro co uszedł przed chwilą. Wtedy zpomiędzy wszystkich drzew ogrodu Tuileriów, które jeszcze wszystkie nagie stały, zieleniało się tylko jedno drzewo, całe świéżym liściem okryte, a lud, upatrując w tem prorocze powitanie swojego z wygnania powracającego cesarza, nazwał odtąd to kasztanowe drzewo, kasztanem 20. marca, którsto nazwa została mu aż do dzisiaj. I tego roku dochowało to drzewo wierności swemu nazwisku; już 18. marca rozwinęło swe pierwsze listki a 20. marca było już całe zielone. Lecz co za zmiana czasów! To samo drzewo, które patrzyło na przechadzających się w swojém cieniu członków konwentu, zajętych rozmową swoich surowych planów; które się zieleniło na cześć Napoleona, gdy został cesarzem, a w 10 lat późniéj witało go powracającego z Elby; które widziało jak Ludwika XVIII. w wózku na przejazdkę toczono, a Karol X. na łowy jechał; po-pod które pierzchały w dzikim popłochu szwajcarskie pułki Luwru przed zwycięzkim ludem lipcowym; którego wreszcie gałęzie były nieraz draśnięte postrzałami *emeutów,* które dożyło tyle zmian obok i wkoło siebie, to samo drzewo wita dzisiaj swoją przedwczesną zielenią inne czasy i inne dzieje! Ludzie nikną, czyny mijają, sama tylko natura nie zmienia się w swoim odwiecznym biegu.

Co znaczy mieć takt? »Takt mieć,« znaczy mieć *essencyję* światowego doświadczenia, wydobytą bystrym rozsądkiem i roztropnością. Takt, jestto delikatna, ustawiczném ocieraniem się w świecie, na powierzchni ludzkiego charakteru sprawiona politura. Takt mający, posiada najwprawniejszy język, najlepsze oko, najbystrzejsze pojęcie. Nigdy nie traci przytomności, nigdy nie jest w kłopocie, nigdy nie próżnuje. Podczas gdy inni się zastanawiają, on wykonywa; nim inni zaczną, on skończył. Przygotowany z góry na wszelkie nieprzewidziane przypadki, nigdy się nie zatrwoży trudnościami. W tak dobry sposób odprawia swoich wierzycieli, iż są kontenci, jak gdyby ich zapłacił, a przyrzeczenia łamie z takim wdziękiem, iż samo ich dopełnienie, nie mogłoby być piękniejsze. Jest najbieglejszym rachmistrzem w świecie, a swoje rachunkowe błędy umié tak pokryć zręcznie, iż rzadko bywają postrzeżone. Jego pomyłki wyglądają jak wiadomości, kłamstwo jak prawda. Czyni wszystko od razu i w swoim czasie i na swojém miejscu. Zgaduje tę chwilę, kiedy ma wejść, a kiedy odejść; wie kiedy śmiać się, a kiedy płakać, kiedy żartować a kiedy prawić morały, kiedy się unieść, a kiedy być oziębłym. Umié grać uczonego i nieuka, być prostakiem i ukształconym, zachwyca uczonych grzecznością, a damy uczonością.

Molière i Bossuet. P. Aimé-Martin przytoczył niedawno w *Journal des Débats* niektóre zajmujące szcze-

góły do historyi pomnika wystawionego w Paryżu na cześć Moliera, przyczém wspomniał: iż nawet sławny Bossuet wyklął był imię tego najsławniejszego z francuzkich komedyjopisarzy i obyczajowych malarzów. Potomność, mówi p. Aimé-Martin, zaledwie uwierzy aby Bossuet podobne anatema mógł rzucić, zwłaszcza porównając je z następną anegdotką, która jak była ostatnią w życiu Moliera, tak też ma historyczny związek z powyższą klątwą: Rano dnia tego, gdy wieczorem nasz poeta prawie w oczach publiczności ducha wyzionął, chcieli go koniecznie żona i przyjaciele, na widok jego wysilenia, odwieść od tego, aby występował na scenę, ale na próżno. »Człowiek cierpi długo nim umrze;« odrzekł Molière, »czuję wprawdzie, iż się mój koniec zbliża; lecz oto jest pięćdziesiąt ubogich pracowników, którzy tylko ze swego zarobku żyją, któż im poda dziś wieczór chleba, jeżeli grać nie będę?« Poszedł więc i grał »*Chorego z urojenia*,« on, który sam był najbardziéj chorym! Odegrał, wrócił do domu i umarł »przechodząc« jak się Bossuet wyraził, »od fraszek teatralnych przed surowy trybunał sędziego, który mówi: »Biada wam co się śmiejecie, albowiem płakać będziecie.« — Wiek minął od jego śmierci, nim pamięć jego czémkolwiek uczczono. Dopiero w r. 1769 wpadła akademija francuzka na myśl, aby dla poety w swém zgromadzeniu nakazać mowę pochwalną. W r. 1778 kazała w sali swoich posiedzeń ustawić popiersie a później posąg Moliera, i to jakimś dziwnym przypadkiem — jeźli to był tylko przypadek — *tuż obok posągu Bossueta!* — W ulicy *Traversière*, naprzeciw domu, w którym poeta umarł, stoi nowy pomnik poety, ozdabiający studnię, a ta ulica otrzymała teraz nazwę: *Rue fontaine Molière.*

Olbrzymy w górach kaukazkich. W Kaukazie żyją dotąd olbrzymy nie tylko co do waleczności lecz i co do postaci. Członek akademii petersburskiéj pan Bähr przesłał niedawno akademii umiejętności otrzymanego od akademii medycznéj kościotrupa ludzkiego, z którego się okazuje, iż człowiek, po którym ten szkielet pozostał, był największym olbrzymem, o jakim kiedykolwiek słyszano w rodzaju ludzkim; gdyż sądząc po długości owego kościotrupa, musiał przynajmniéj mieć 9 stóp wysokości. Teraźniejsi antropologowie przypuszczają jako *non plus ultra* tylko 8 stóp i 6 cali. Z kości jednak widać że ten olbrzym, którego pochodzenie chcą wywodzić z Kaukazu, umarł przed niedawnym dopiéro czasem.

Król Joachim Murat i kucharz księcia Cambacérès. Sławny król neapolitański, syn ubogiego szewca z Cahors, był za młodu oddany do rzeźnika. Będąc jeszcze chłopcem nosił po domach zamówione mięso. Gdy jednego razu kucharzowi księcia Cambacérès przyniósł złą pieczenię, zaczął go tenże łajać i uderzył go tak mocno w głowę pieczenią iż mu się krew z nosa puściła. To pokrzywdzenie oburzyło Murata, zmierziło mu rzeźnictwo i spowodowało do wstąpienia do pieszej gwardyi francuzkiéj. Jego piękność, jego śmiałość i osobista odwaga, były jak wiadomo, przyczyną że się wzniósł aż do rangi jenerała. Te same przymioty zwróciły nań uwagę siostry Bonapartego. Oddała mu z swoją ręką upoważnienie do jego dalszych dostojeństw, a Karolina Bonaparte była co do ducha najwięcéj podobną do swego wielkiego brata. Wkrótce potém został Napoleon cesarzem a jego szwagier Joachim Murat, księciem francuzkim. W tymto czasie był jednego razu u stołu księcia Cambacérès, który jak wiadomo, dbał wiele o dobrą kuchnię. Murat znalazł wszystko tak smakowicie przyprawione, iż prosił księcia, aby mu odstąpił swego kucharza. Jakkolwiek to niemiłe było księciu, nie pozostało mu nic innego, jak poczytać sobie za wielki zaszczyt, iż mógł szwagrowi wszechwładnego Napoleona odstąpić swego kucharza. Po skończonym obiedzie, kazał Cambacérès zawołać kucharza, oznajmił mu co za szczęście go czeka i doradził udać się natychmiast do pałacu Murata. Kucharz przelękniony i blady upadł księciu do nóg i zaklinał go, aby go nie oddawał Muratowi. »Ale dla czegóż?« pytał Cambacérès. — »Ach Panie,« odrzekł kucharz, »skoro mię Murat ujrzy, każe mię niezawodnie gilotynować, gdyż nie zapomniał zapewne, żem go raz pokrzywdził, kiedy jeszcze był u rzeźnika.« Tu opowiedział cały wypadek, a Cambacérès sam mu teraz dał radę, aby się nie narażał na niebezpieczeństwo tak wątpliwego szczęścia i wydalił się z Paryża. On też opuścił Francyję i założył w Hamburgu wielką restauracyję, gdzie bardzo często gościom powyższe zdarzenie opowiadał.

Sumienny kapelmistrz. Dzienniki neapolitańskie zawierają szczególne oświadczenie tamtejszego kapelmistrza maestra Mario Aspa, w *Teatro nuovo*. Gdy bowiem dyrekcyja pomienionego teatru w skutek zobowiązania się względem publiczności chciała przedstawić operę Rossiniego »Otello«, oświadczył kapelmistrz publicznie: iż raczéj zrzeknie się swej posady niż przyzwoli na to przedstawienie, które daleko siły śpiewaków owéj sceny przechodzi. Wszystkie czasowe pisma stolicy neapolitańskiéj, oddają największe pochwały téj sumienności maestra.

Przebiegłość małpy. Francuzki kucharz lorda Tynham miał małpę, która była wyuczona przyprawiać drób' i zwierzynę na rożen. Jednego razu skubała małpa przy otwartém oknie w kuchni parę kuropatew, gdy nagle nadleciał jastrząb' i uniósł jednę kuropatwę. Biedna małpa była w największym kłopocie z obawy ciągów jakie ją zato czekały. Lecz rozpacz nie była jéj hasłem. Zebrała całą swoję odwagę i położyła pozostałą kuropatwę na oknie. Jastrząb', któremu piérwsza przekąska smakowała, przyleciał wnet po drugą. Teraz skoczywszy zaczajona małpa, chwyciła jastrzębia i pomimo wszelkiego mocowania się i wrzasku drapieżnego rabusia, oskubała go żywcem co do jednego piórka. Po czém położyła go wraz z kuropatwą kucharzowi, strojąc pokorną minę, która lepiéj od jakiejkolwiek mowy, zdawała się wyrażać: »Wszystko w należytym porządku; oto masz parę ptaków; słuszna zamiana nie jest złodziejstwem.«

Zapytania Safira: Dla czego bywają te prośby najprędzéj wysłuchane, które *do nieba* zasełamy? Dla tego zapewne, że z niebem można mówić *ustnie*, a próśb *na piśmie* podawać nie trzeba. — Dla czego Turcy zakazali sobie pić wino a pozwolili poślubiać żon wiele? Ponieważ wiedzieli o tém dobrze, iż człowiek *trzeźwy*, zaledwie się *jednę* pojąć odważy. — Jakie podobieństwo zachodzi między ludźmi a zegarkami? *Płascy* ludzie i *płaskie* zegarki, najbardziéj się podobają. — Co to jest opera? Jeźli jest jakaś rzecz *tak głupia*, że o niéj się *mówić* wstydzą, wtedy ją — *śpiewają*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.

(Dodatek nadzwyczajny.)

Dodatek prywatny do Nru. 18. Rozmaitości Lwowskich.

1205

Ułomek z podróży do Hoszowa.

Pominąwszy Bednarów ostatnią stacyję pocztową, pożegnałem się z Pokuciem, zbliżywszy się do Wistowéj, włości położonéj na gościńcu cesarskim. — Któżby nie odgadnął, że ziemia ta należy już do cyrkułu stryjskiego. Drogi zachowane w wzorowym porządku, wysadzone po obu stronach drzewami, a w najlepszym stanie utrzymywane mosty, poświadczają, jak dalece i ta gałęź Administracyi krajowéj, stanowiąca bezpieczeństwo osobiste, zajmuje uwagę Naczelnika obwodowego. Ledwie godzin trzy upłynęło, przejechałem przez Kałusz i Dolinę, miasteczka położone na gościńcu cesarskim, znane z obfitych żup solnych, — a przeto ujechałem w trzech godzinach przeszło mil pięć. Pominąwszy Dolinę, ujrzysz o niemal połtoréj mili na skale prostopadłéj, nad rzeką Swicą u podnóża gór karpackich położonéj, Klasztor Ojców Bazylijanów. Miejsce to zowie się H o s z ó w. Kościół połączony z tym klasztorem mieści w sobie obraz Bogarodzicy, od niepamiętnych czasów cudami wsławiony, dokąd pobożny pielgrzym o mil kilkanaście się udaje. Budowa ta jest tak wzniosła i wspaniała, że nad przestrzenią mil kilkunastu panować się zdaje. Do roku 1842 był na tém miejscu mały, tylko drewniany kościołek; ksiądz *Julijan Mokrzycki*, któremu od lat kilkunastu powierzone jest namiestnictwo zgromadzonych tu zakonników, niezmordowany w najścislejszém wypełnianiu obowiązków Superiora, ograniczywszy wydatki na potrzeb klasztoru, starał się częścią z dobrowolnych składek pobożnych właścicieli dóbr ziemskich w okolicy zamieszkałych, a częścią z dochodów kościelnych w przeciągu lat kilku wybudować kościół z twardego materyjału. Swiątynia ta jest tak wspaniała, że wszędzie najznakomitsze mogłaby zająć miejsce, lecz nigdzie się tak pięknie wydać nie może, jak na lasem ubarwionéj, przy samym publicznym trakcie położonéj górze Hoszowa. Odwidzając kościół, trafiłem właśnie na nabożeństwo: pyszne wewnętrzne urządzenie kościoła, śpiew Zakonników połączony z wdzięcznym głosem organów, tak był dla mnie zachwycającym, że się do łez wzruszyłem. Opuściwszy z tęsknotą to święte miejsce, które śmiało stolicą Królowéj Karpatów nazwaćby można, i pożegnawszy się serdecznie z bardzo uprzejmym Zakonu tego Przełożonym, puściłem się w dalszą podróż, zanuciwszy sobie wprzódy na wychodzie z Kościoła przed obrazem Bogarodzicy Panny następującą piosneczkę:

Od dwóch wieków władasz berłem na téj Jasnéj Górze,
Matko bogobojnych, anielska Królowo;
Cała rzesza Karpatów ma w Tobie przedmurze,
Dotąd nigdy nietrapione zarazą morową.
W każdéj nagłéj potrzebie i w smutnym wypadku
Spieszy pielgrzym pobożny do Twojego tronu;
Ratujesz siéroty, dźwigasz w niedostatku
Biédnych, opuszczonych, bliskich życia skonu.

A tak radzę każdemu, ktokolwiek ma zamiłowanie w górskich okolicach, udać się choć raz w rok letnią porą w podróż do H o s z o w a, a upewniam że mi za tę przyjacielską radę zawsze wdzięcznym będzie.

T.......i

Cześć

naszemu

Teodorowi Torosiewiczowi.

Cześć Ci mężu sławy! ozdobo téj ziemi!
Gorliwy chemii krajowéj kapłanie,
Jeżli się rodacy przejmą myśli Twemi,
To nam nowe błyśnie z uśpienia zaranie.

Pierwszyś Twoją pracą skarb źródeł odgadnął,
Co wieki spoczywał w rodzinnéj ziemicy,
Słusznieś więc wdzięcznością pierś ziomków owładnął,
Boś zbogacił naszéj skroń oblubienicy.

Tyś nam wskazał ulgi cudowne przybytki,
Jak błędnym wędrowcóm śród spieki zdrój wody:
Spieszą do nich liczne nadziei rozbitki,
Unosząc z nich zdrowia najdroższe swobody.

Ty siędziesz w wybranych naszych ziomków kole,
I wiecznie żyć będziesz w prawnuków pamięci,
W nagrodę w laurowym wieńcu czci na czole:
O bo przyszłość nieraz Twą pamięć uświęci!

Dziś już mężu pracy żyjesz w naszéj myśli,
Bo Twoje zasługi ceni kraj ojczysty;
Przyjm i te uczucia, co szacunek kryśli,
W łonie gorejącém młodego lutnisty! —

Lwów 1843.

W dniu imienin S.

dnia 17go Listopada 1843.

Dziś pierś nową piosnkę śpiewa,
Dawnych uczuć dawnych tchnień,
Miłość nowe życie wléwa,
Dziś radości dla mnie dzień.
Znikł jak czarna mgła pomroku,
Długich cierpień szary cień,
Wszystko świéżo kwitnie oku,
Dziś imienin Twoich dzień! —
Dokąd tylko myślą strzelę,
Czy tam błogo czy tam łzy,
Jako anioł Ty na czele,
Wszędzie luba stoisz Ty.
Jak strumyczek cicho mija,
Strojąc w zieleń bliski brzeg,
Jak się róży kwiat rozwija
Taki Twego życia bieg.
Sroższą drogą, twardszą dłonią
Mię prowadził przykry los,
Za mną tylko troski gonią
Moje życie cios i cios! —
Na cóż w takiéj świetnéj chwili
Długie lata, zimny głaz,
Na cóż teraz się wysili
Pierś rozdarta tysiąc raz?...
Lecz od kiedym ujrzał Ciebie,
Odkąd serce Twoje znam,
Pierś zgojona — duszą w niebie
Tysiąc dla Cię życzeń mam.
Oby święte te umowy
Już się mogły ziścić raz,
Gdy poważne ojców głowy,
Radząc chciały złączyć nas.
Tu u kresu pragnień stoję,
Z Tobą w Tobie wiecznie żyć;
Duszę Twoją, serce Twoje —
Więcéj życzeń nie chcę mieć. —

D. Towarnicki.